

# Zofia Kucówna

**Aktorka teatru „Współczesnego” w Warszawie.**

■ Nierzadko oglądamy Panią na scenie, a na ekranie telewizyjnym jest Pani niezwykle rzadkim gościem.

— W teatrze występuję w przedstawieniu „Jak się kochała”. Grane jest już trzeci rok i ma tak szalone powodzenie, że jak na razie nie zapowiada się na rychły koniec tej sympatycznej zabawy.

■ I nie jest Pani rozgoryczona, że tylko tyle! To nie pytanie, to stwierdzenie. Jak to Pani robi?

— Wynajduję sobie różne zajęcia, które wprawdzie zmuszają mnie do samotnej pracy w domu, ale za to potem spotkania z publicznością wynagradzają wszelkie braki pracy nie zespołowej, do której przywykłam przez 30 lat pracy w teatrze i której bardzo mi brakuje.

■ Co Pani przygotowała dla zawsze wiernych sobie widzów?

— „Dzienniki” **MARII DĄBROWSKIEJ**, które ciągle czekają na wydrukowanie. Podobno „Czytelnik” obiecuje, że w tym roku ukażą się na pewno. Ja skomponowałam z nich tryptyk, tzn. są to trzy wieczory, każdy z nich obejmuje inny okres życia autorki. Pierwszy lata 1914—1925. drugi 1925—1939 i trzeci 1939—1945. Sceną i widowiskiem jest salon w Muzeum Marii Dąbrowskiej przy ul. Polnej 40 w Warszawie. Te spektakle dają mi wiele satysfakcji i przyjemności. Sądzę, że słuchaczom też, ponieważ cieszą się powodzeniem i również jak na razie nie zapowiada się rychły ich koniec.

■ W salonie Muzeum zmieścić się może sześćdziesiąt osób, więc tylko mała garstka wielbicieli Pani talentu może uczestniczyć w tym przedstawieniu — co będzie z resztą?

— W marcu moje „Wieczory w Marii Dąbrowskiej” nagra telewizja. Trochę się tej konfrontacji telewizyjnej boję. Przygotowując to przedstawienie, myślałam wyłącznie o bezpośrednim kontakcie ze słuchaczami, siedzącymi w prawdziwym pokoju dawnego mieszkania Marii Dąbrowskiej przy ul. Polnej.

■ Jaka Pani jest w „cywilu”?  
— Różna. Często aktywna, pełna energii, aż tu nagle przychodzi dzień, że nic mi się nie chce.

Jestem zniechęcona, potrzebuję „tygrysięgo” dnia — nie wychodzę z domu, po którym snuje się bez celu, czytam, oglądam telewizję, telefonuję do przyjaciół. I nagle znowu podejmuję czynne życie — nie tylko zawodowe, towarzyskie, ale i społeczne. Doszliśmy kiedyś z **ALINĄ JANOWSKĄ** do wniosku, że jeżeli ktokolwiek, kiedykolwiek w dzieciństwie powąchał harcerstwa to już nigdy nie wyrzeknie się go do końca życia — udział w różnych społecznych akcjach daje takie samo potwierdzenie własnej wartości jak praca zawodowa. A czasem i większe.

■ Jest Pani optymistką?

— Raz optymistką, raz pesymistką — ambiwalencja absolutna!

■ Dlaczego takie skrajności?

— Taka natura. Obciążenie genetyczne. Nic na to nie poradzę. Czasem, i to jest najbardziej prawidłowa ocena mojej natury, mówię sobie, że jestem sceptyczną optymistką.

■ Co w codziennym życiu najbardziej Panią denerwuje?

— Brud! Brud i pauperyzacja życia nie tylko mnie denerwują, ale często doprowadzają do furii. Kupuję w sklepach spożywczych, ale nie zgadzam się na takie sklepy. Jestem za sklepami prywatnymi-detalicznymi. Wielkie domy towarowe mogą sobie być państwowe. Tam gdzie nie ma konkurencji, ludziom na niczym nie zależy.

■ Część sklepów jest spółdzielczych, prywatnych i ajencyjnych.

— Tak. I są trochę lepsze, ale powtarzam — nasze sklepy są brzydkie i brudne. I to prawie wszystko.

■ Zmieńmy temat, bo wstydliwy. Jak Pani odpoczywa?

— Czytając. Im więcej dorosłeję tym bardziej samotnieję. Dawniej nie potrafiłam żyć bez ludzi. Potrzebowałam ich na cały dzień. Teraz bardzo cenię sobie ciszę, dom, czytanie. A jeżeli spotkania towarzyskie, to bardzo kameralne.

■ Słyszałam, że Pani wielką pasją jest ogródek.

— Tak i to już od paru lat. Wiele radości sprawia mi poznawanie tajemnic różnych roślin. Rośliny są jak ludzie — mają swoje charaktery, upodo-



Zdjęcie: RENARD DUDLEY

bania. To co lubi na przykład pietruszka, nie lubi groszek.

■ Lubi Pani modnie się ubierać?

— Nie ubieram się już tak super modnie jak dawniej, ale mam nadzieję, że nie ciągnę się w ogonie.

■ Kupuje Pani gotową konfekcję?

— Przeważnie daję do szycia. Potrafię także dużo uszyć sama. Jestem kobietą, która wyrosła z dziewczyny umiejaczej zrobić prawie wszystko. Moje koleżanki z okresu młodości umiały uszyć dosłownie wszystko. Pamiętam, że jak jedna z nas zrobiła pelisę to natychmiast pozostałe uszyły sobie zimowe palta.

■ Chodzi Pani do kosmetyczki?

— Rzadko.

■ Do fryzjera?

— Tylko, żeby się ostrzyć — częściej się sama.

■ Jak radzi Pani sobie w kuchni?

— Z codziennym gotowaniem jest różnie — zdarza mi się, że przypalę, przesolę. Natomiast uwielbiam gotowanie dla gości i wtedy popisuję się.

■ O czym Pani marzy?

— O podróżach. W lecie razem z przyjaciółką **AGATA**, bląkałyśmy się samochodem po Polsce — od Kazimierza po Kraków.

I po raz drugi zakochałam się w Krakowie — mimo że smutny, stary i sfiwy od dymów hut i fabryk jest tak samo kochany i budzący zachwyt jak dawniej. Wszystko w moim życiu co pierwsze, zdarzyło się w Krakowie. I dlatego Kraków jest i będzie moim miastem „najwłaśniejszym”. Inaczej niż Warszawa, w której się wprawdzie urodziłam ale sądzą, że tu stanie się wszystko w moim życiu co ostatnie — więc stolica też jest „najwłaśniejsza”, ale inaczej. Nie mogę się zdecydować, które miasto w moim sercu pierwsze — ciągle walczę ze sobą, więc niech tak już zostanie.

■ Na zakończenie chciałabym życzyć, ale nie Pani, tylko widzom, jak najczęstszych spotkań z Panią na scenie i na małym ekranie.

Rozmawiała:

**Elżbieta Stępkowska**